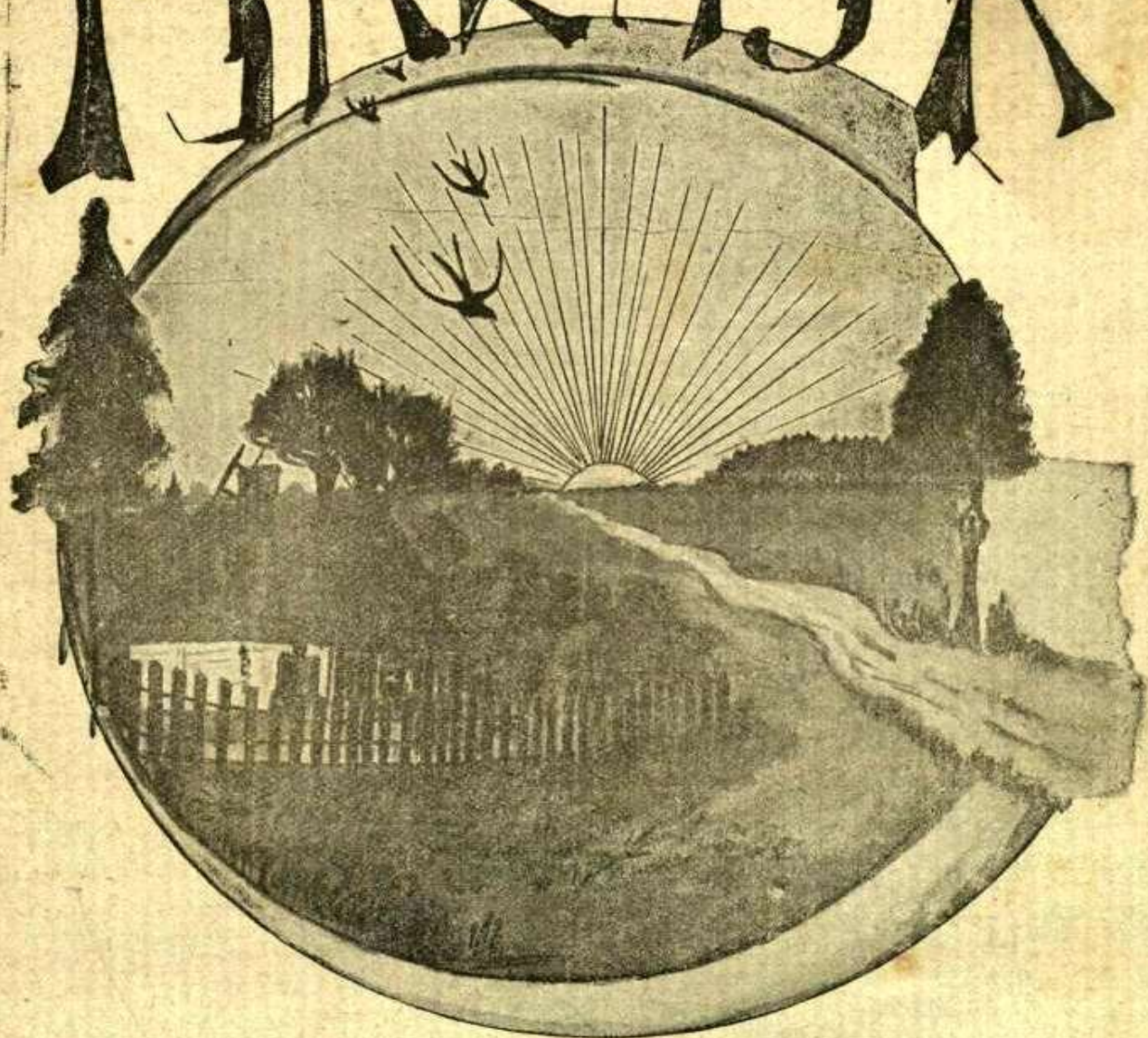


BRZASK



Dwumiesięcznik uczennic Semi
narjum Naucz. i Gimnazjum
w Marjówce

Zdziwi to może niejednego Czytelnika „Brzasku,” że w tym numerze napotka jedynie artykuły, opiewające wszelkiego rodzaju bale, przedstawienia i akademje, które się odbywały w Marjówce. Kto nie zna Marjówki (i nas oczywiście) powie sobie drwiąco:

„Co? W Marjówce porządne przedstawienie? A gdzie artyści? Bal? A gdzie tancerze, muzyka?”. Jednak grubo się będzie mylił ten „ktoś”, bo w Marjówce wszystko jest pierwszorzędne, począwszy od muzyki, skończywszy na tancerkach.

Często gęsto orkiestrę reprezentuje bębenek i basetla (czasem nawet i tego niema, tak że trzeba samemu przyśpiewywać), ale czy to przy bębenu tańczyć nie można? Oho! i jak jeszcze!

Zwłaszcza, gdy się ma salę balową (nawiasem mówiąc, jest to sala gimnastyczna) tak pięknie przybraną w różnokolorowe bibułki, festony i t. d. Co zaś do artystów, to nasza Marjówka słynie na całą okolicę (Zawada, Smogorzów, Przysucha) z pierwszorzędnych sił. Są już nawet raz na zawsze ustalone role, odpowiadające danym osobnikom.

I tak: ta ma być „po wsze czasy” dziadkiem, ta ma się wiecznie kochać (chce czy, nie chce), tamta znów gra zawsze rolę babci i t. d.

Przedstawienia odbywają się zwykle na sali teatralnej, służącej w zimie za ogród spacerowy, boisko do siatkówki i t. p., wogóle jest to sala do użytku publicznego.

Trzeba także zwrócić uwagę na podwyższenie, bardzo często pochłaniające biedne aktorki (fatalny układ desek). Co ja piszę? Biedne? Nie, stanowczo nie są biedne! Entuzjazm i gorące „uwielbienie” licznej zawsze publiczności wynagradzają artystkom całkowicie ich trudy. A trzeba przyznać, że trudy te są niemałe.

Ile to razy aktorka męczyła się całymi tygodniami, by się nauczyć kichać bez kataru, ile razy nie mogła się zakochać „naprawdę”.

Dużoby tu o tem pisać ale cóż pozostanie autorkom innych artykułów? A przytem widzę już znudzone miny czytelników, więc kończę, stawiając dużą, czarną kropkę.

Wandzia Ciesielska kl. II.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI.

Cofnijmy się myślą wstecz, przeżywając raz jeszcze bohaterskie czyny obrońców Ojczyzny, którzy dążyli do odzyskania wolności.

Oto nasza ukochana Ojczyzna jęczy w kajdanach niewoli, a nad nią niby trzy kruki pochylają się i rozszarpują nieszczęśliwą: Rosja, Prusy i Austria.

Ona cierpi — naród płacze. A srebrny orzeł, krążąc ponad polską krainą, woła: „Do boju! Do bronii!”

I tak mijały lata...

Nadszedł rok 1830. Wysocki z garstką kadetów, Chłopicki, Skrzynecki, Sowiński; a na dalekiej Litwie za wolność Polski walczy bohaterska dziewczyna Emilja Plater.

Rok 1863. Powstanie styczniowe. Langiewicz, Traugutt — oto główne sylwetki tego powstania. Szereg krótkich walk partyzanckich i powstanie zostało stłumione.

A na Sybir szły setki bohaterów.

Wreszcie rok 1914, gdy z garstką strzelców w szarych mundurach idzie walczyć Piłsudski. Jego silna wola i pewna dłoń wywalczyła nam niepodległość.

I oto w roku 1918 zajaśniała nad Polską łuna wolności.

Polska zmartwychwstała.....

I dlatego święto Niepodległości jest chyba najdroższe i najbliższe sercu każdego Polaka. Wszędzie jest uroczyście obchodzone i należycie czczone. I u nas w szkole również.

* * *

Wchodzimy.....

Sala jasno oświetlona, a gdzie spojrzymy, to aż się roi od głów ludzkich. Wreszcie przy dźwiękach pieśni „Bogurodzica” jedna ze starszych koleżanek wygłosiła wyjątek z „Krzyżaków” — opis bitwy pod Grunwaldem. Myśli nasze biegną tam... pod Grunwald.

Widzimy wyniosłą postać Jagielly na karym koniu. A przed nim pole bitwy. Słychać chrzęst zbroi.....

I naraz marzenia nasze pierzchły, gdyż na scenę wkroczył stary — pochylony Krakus. I opowiada o nim, o Kościuszcze.

Chłopi słuchają..... Niejednemu łza rozrzewnienia zabłyśnie w oku, a drugiemu usta twardo zatną się przeciw Moskalom. I naraz na twarzach chłopów maluje się zapal, chęć obrony ziemi ojczystej... I pobrzękując kosami, idą walczyć za Polskę.

Oczy zaćmiewa nam mgła rozrzewnienia: i nam udziela się zapal chłopów, i my chcemy walczyć za Polskę.

Potem został zadeklamowany wiersz p. t. „Legjoniści”, w którym jest mowa o Dąbrowskim, nawołującym do walki przy boku Bonapartego.

Tak, Polacy wszędzie będą walczyć, dopóki przyświecać im będzie nadzieja oswobodzenia kraju. Wreszcie przy tonach smętnej „Warszawianki” został odegrany fragment z powstania listopadowego.

Cichy staropolski dworek szlachecki. W saloniku siedzą dwie siostry. Jedna z nich Anna wierzy gorąco w powodzenie powstania. Lecz druga Marja — ma złe przecucie. Jakby natchniona, opowiada o bitwie i wreszcie wyszeptawszy: „Klęska!” — mdleje na rękach siostry.

Tak, niestety, sprawdziły się prorocze słowa Marji: powstanie upadło. Tak nam szkoda tych wysiłków, które poszły na marne....

Powstanie styczniowe....

Na scenie widzimy las, mogiły powstańców, a nad niemi szumi pra-

stary dąb. Wtem przylatuje wiatr. Zdziwiony tą przygnębiającą atmosferą i grobową ciszą, pyta: „Skąd one?” — wskazując mogiły.

Lecz drzewa milczą...

Tylko w odpowiedzi złowrogo zaszumiały. Ale wiatr przyklęknął u stóp starego dębu, a ten mu opowiada o czynach, triumfach i klęskach powstańców. A wiatr wzniósł się, zakolysał i, krążąc, zawołał: „Gloria Victis!”

Kurtyna zapadła... a my wciąż siedzimy pogrążeni w zadumie.

Na zakończenie wiązanka legjonowa na skrzypcach i pieśń, pełna triumfu i potęgi: „Oto Polski Zmartwychwstał!”.

Wychodzimy z sali, przepojeni miłością ku Ojczyźnie, której wolność została okupioną krwią tylu oddanych jej serc.

Lila Jedyńska kl. I-sza.

Lekcje na scenie.

Niekażdy z Was, drodzy Czytelnicy „Brzasku”, ma możliwość usłyszeć na własne uszy i zobaczyć na własne oczy, jak odbywają się lekcje w poszczególnych klasach.

Ale w naszej szkole i na to znalazła się rada. Otóż nasze dziewczynki pragnęły pokazać, co umieją i to wiecie gdzie?.. Na deskach teatru marjowskiego.

Wybrały sobie pilne uczennice te lekcje, do których specjalnie przykładają się i do których serce je ciągnie.

A więc zaczniemy od „starszeństwa”, a może lepiej od „młodszeństwa”? A więc zrobmy tym razem: „dzieci naprzód!”

Zresztą co ciekawsze, to zawsze trzeba opisać na końcu. Prawda? Dwie pierwsze klasy, przejęte do głębi historią, ukazały oczom ciekawej publiczności sąd Parysa. Druga klasa popisywała się francuskim (boimy się, żeby czasem nie pouciekały z Marjówki do Paryża).

Był tam doktor, leczący chłopca, który miał nogi sparaliżowane i którego matka bardzo rozpaczała z tego powodu.

Ale jak się potem okazało, to chłopiec wcale nie miał chorych nóg, tylko włożył obie do jednej nogawki i wskutek tego przewracał się co chwila. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, bo nie zapominajcie, że to po francusku, radzę więc spytać o wyjaśnienie klasę drugą.

Teraz kolej na trzeciaki. Ta słynie z zamięłowania do polskiego, chemii, historii, geografii i t. d., ale tym razem wybrała sobie polski.

Szerokie masy publiczności, będące jeszcze pod wrażeniem sparaliżowanego chłopca, któremu bardzo współczuły, musiały teraz współczuć biednemu mężowi, którego wodziła za nos żona bardzo modna.

Niecierpliwy małżonek (nasza Sylwia) kręcił się jak fryga naokoło swej żony, której nic się nie podobało.

To sala jadalna niemodna, to służba nie taka, jak być powinna, to znów mąż źle mówi.

Klasa VI popisała się łaciną, bo podobno umieją i kochają ten przedmiot.

Aktorkę z szóstej klasy od nadmiernego skandowania frazesów łacińskich, których uczyła się napamięć, bolała broda, tak że biedaczka nie mogła mówić potem przez dwie godziny.

A teraz na scenie ukazała się powszechnie znana kronikarka „Koła Jedność” z kursu V-go i ogłosiła szanownej publiczności, że za chwilę z dziećmi pierwszego oddziału poprowadzi lekcję próbną i gorąco pragnie, aby goście zaszczylili ją swą obecnością.

Na sali zapanowała cisza, a na scenie przechadzała się nerwowym krokiem „profesorka”, patrząc co chwila na zegarek i na drzwi, które miały nadejść dzieci. Lecz jakież było zdziwienie publiczności, gdy zamiast rozwrzeszczanej czeredy dzieci wiejskich zobaczono pchające się przez drzwi niemniej krzyczące nasze piątokursistki, które pozmieniały się na uczniów i uczennice pierwszego oddziału szkoły powszechnej.

Za dzieciarnią weszły hospitantki i zajęły miejsca w ostatnich dwóch ławkach. Nasza pani profesorka zabrała głos, a słodkości w mowie jej nie brakło, niedarmo przecież ćwiczyła się przed przyjściem dzieci i badała w lusterku wyraz swej twarzy.

Napociła się przytem biedaczka....

Zlekka drżącym głosem, ale dobitnie wypowiadała przygotowany przedtem frazes: „Dzieci, proszę o ciszę, rączki na ławce, Franuś, uważaj”!...

Ale słowa dobrotliwie uśmiechającej się „profesorki” nie trafiły jakoś do serc dzieciarni.

Dziewczynki, zaplatając warkoczyki, spoglądały nieufnie w stronę nauczycielki, a chłopcy, nie zważając na jej obecność, bili się i szturchali wzajemnie. A hospitantki czekały, kiedy wreszcie ucichnie i zacznie się lekcja.

Wreszcie Ola zdołała przyjść do słowa i zaczęła prowadzić lekcję na temat chaty wiejskiej.

Chcąc zbadać inteligencję swych uczniów, zadała kilka pytań.

„Dzieci, mieszkacie w chacie, ale powiedźcie mi, kto prócz was znajduje się tam jeszcze?”

Po tych słowach słyhać rumor ławek i ku profesorce wysuwa się las czarnych palców. Ola wybiera jedną dziewczynkę, o wiele większą od niej, a ta odpowiada z wielkiem przejęciem:

„A u nos w chałupie to je krowa, łóżko, matula drum pirze”.

— „Dobrze! No, co jeszcze jest w mieszkaniu?” Zapytana dziewczynka odpowiedziała:

„A u nas to sum jescek i bobka, i tata, i zieluny kuferek, i mały braciszek...”

„Dobrze, dzieci!”

Ale jedno z was powiedziało, że w mieszkaniu jest krowa. Jest to bardzo niedobrze, gdyż w każdej chacie powinno być czysto i każdy powinien dbać o czystość osobistą i o czystość w mieszkaniu, bo w przeciwnym razie pojawiają się w chacie bakcyle.”

Napróżno hospitantki dawały jej porozumiewawcze znaki, że popełniła wielki błąd, używając słowa „bakcyle,” które jest zupełnie niezrozumiałe dla dzieci z pierwszego oddziału.

Lecz uniesiona swemi myślami nauczycielka nie zwracała uwagi na te sygnały, a raczej nie spostrzegła ich.

Lekcja trwała dalej, Ola znowu zadała pytanie:

„A powiedzcie mi teraz, co to jest razem mamusia, tatuś, babcia, dziadek, siostrzyczka?. Kto powie?”

„Jo, jo, prose pani” — odzywają się chóralne głosy. Ola wybrała jednego z chłopców. Ten odpowiada przeciągłym głosem: „Rodzeństwo, prose pani...” „Nie! Ty powiedz!” — zwraca się nauczycielka do siedzącej w pierwszej ławce dziewczynki.

Ta zakrywa wstydliwie twarz fartuchem i odpowiada: — „Rodzice”. „Żle! Może ty powiesz?” — zwraca się do innej uczennicy.

„Famielijo” — odpowiada zapytana.

„Dobrze! A co to jest razem brat i siostra?”

„Rodzeństwo” — odpowiada najlepsza uczennica.

„Dobrze!” — mówi ucieszona dobrymi odpowiedziami nauczycielka. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie nagły huk, który przerwał tak dobrze zapowiadającą się lekcję.

„Dzieci! Które z was tak hałasuje?!”... — odzywa się zdenerwowanym tonem Ola.

Milczenie...

„Dzieci, przyznajcie się, powinniście mieć przecież trochę odwagi indywidualnej i...”

Ale zdenerwowana nauczycielka nie skończyła swej myśli, gdyż w tej chwili uprzytomniła sobie, że dzieci nie rozumieją, co to jest odwaga indywidualna, a ze strony hospitantek szły już porozumiewawcze sygnały.

Ale było już za późno.

Biedna Ola, czując, że usuwa się jej grunt pod nogami, niecierpliwie czekała końca lekcji, ale do dzwonka było jeszcze kilka minut.

Zadała więc pytanie:

„Dzieci, gdzie powinna znajdować się krowa?”

„W odwadze windualnej” — krzyknęły chórem dzieci.

Ola opuściła ręce.

Na szczęście wybawił ją z kłopotu upragniony dzwonek, zwiastujący koniec lekcji.

Lekcja była skończona.

Ach! Ciężki to żywot nauczycielki, która musi wkładać wszystko dzieciom do pustych głów...

Ale już dosyć z tem pisanem, bo naprawdę trzeba „odwagi windualnej”, aby zanudzać czytelników „Brzasku”.

Krysia Musiałewicz kl. III-cia.

KARNAWAŁ W MARJÓWCE.

„Graj, skrzypku, graj!” — rozlegają się po korytarzach słowa tanga, śpiewanego przez wszystkie prawie uczennice Marjówki. Wszak to karnawał, trzeba szaleć.

Po kolacji odbywają się próby tańców z racji zbliżających się zabaw. To nie żarty! Przecież ma być nawet orkiestra z Przysuchyl!

I nadszedł dzień 9 lutego, na który czekałyśmy z utęsknieniem. Po „Wieczorze śląskim”, wychodząc z sali teatralnej, spostrzegamy napisy, biegnące po ścianach wzdłuż schodów: „Sala balowa”, potem — „Prędzej”. Biegniemy pierwsze w swoich śląskich barwnych strojach. Wstrzymuje nas napis: „Stop”. Stajemy oniemiałe z wrażenia przed klasą III-cią. Na lewo ukazują się drzwi. Do ziemi spływa w miękkich fałdach ciemna kotara i zasłania tajemnicze wejście. Przez szparę przenika przyćmione światło. Wchodzimy do tego czarownego miejsca. Okazało się, że to bufet. Po pokoju uwijają się gosposie i miłym uśmiechem zachęcają do kupowania. Rozglądamy się z ciekawością. Oto stoją opodal stoliki wytwornie zastawione wszelkimi napojami, na kryształowych kloszach piętrzą się stosy pączków, na srebrnych tacach poukładane artystycznie kanapki, obok cukierki, pomarańcze. —

Kupujemy sobie coś niecoś i idziemy na salę, skąd już płyną tony walca. Pary wirują dookoła sali, zabawa się zaczęła. Ach, jak dobrze jest tańczyć, nie myśli się wtedy o niczem. Zdaje się człowiekowi, że płynie, płynie. Dusza przenosi się hen, w zaświaty. Na głowy sypią się kolorowe confetti, jak barwne motyle. Serpentynty okręcają tańczące pary.

Na sali oprócz muzykantów niema mężczyzny ani na lekarstwo, tańczymy same ze sobą, ale czujemy się zupełnie dobrze. Może byłoby lepiej gdyby było inaczej, ale cóż zrobić? Przecież do Marjówki, tej „twierdzy kobiecych serc,” tak trudno się dostać komukolwiek...

Nadeszła godzina dwunasta, a z nią kres zabawy karnawałowej. Wkrótce, bo 22-go lutego, nastąpiła druga. Na ścianie klasy, w której był zaimprowizowany bufet, widniały czarne, duże litery: „Czuwaj!” Biedaczki musiały czuwać i zachęcać do kupowania smakołyków. —

Sala balowa była ubrana regionalnie.

Zamiast jednak orkiestry przygrywały skrzypki i bębenek, ale było dobrze. Tańczyliśmy, że ha! Druga klasa popisała się mazurem, a pierwsza krakowiakiem. Przyjemnie było patrzeć na te stroje polskie, aż duża skakała z radości! Wszyscy z niecierpliwością czekali jeszcze na jakiś zapowiadany występ.

Do sali wbiegła krucza i smagła cyganka, w której z trudem poznałyśmy koleżankę z I klasy. Cały jej strój błyszczał i mienił się, tak gęsto był naszyty cekinami. Cyganka postąpiła jeszcze jeden krok, przegięła się lekko i rozpoczęła taniec, potrząsając tamburynem.

Naraz chusteczka zsunęła się z głowy tańczącej i włosy niczem nieprzytrzymane spłynęły czarną falą. Nie zważając na to, tańczyła dalej. Lecz ponieważ wszystko ma swój koniec, i ten zawrotny taniec się skończył, sownie nagrodzony oklaskami.

O północy pani wychowawczyni zaklaskała w dłonie i wszystkie ci-chutkie, niepodobne do rozbawionych przed chwilą dziewczątek, odmówiłyśmy modlitwę wieczorną i udałyśmy się na spoczynek. W uszach dźwięczała nam melodia znanego tanga: „Śpiewają fale”.

Tak to minęły sławne zabawy marjowskie, po nich przyszły ostatki, post i oczekiwanie z utęsknieniem świąt Wielkanocnych.

Danusia Klabucka kl. VI.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ.

Ufi!... Jak gorąco! Jaki gwar! Jaki ścisk! Ale gdzie?

Ma się rozumieć, że przed sklepikiem. Samotny zazwyczaj, raz do roku tylko bywa tak strasznie obleżony. I jest obawa, aby jego kruche ściany nie wyleciały w powietrze pod naporem niezliczonego tłumu.

Rece, uzbrojone w błyszczące monety, pragną zasztyletować biedne sklepikarki, oraz czynią zupełne spustoszenie na pełnych doniedawna półkach. Lecz dlaczego? Co jest powodem tak nadzwyczajnego ruchu?

Ach! To 5 grudnia, wigilia kochanego patrona dzieci, św. Mikołaja, który rok rocznie odwiedza mieszkanki Marjówki, nie szczędząc im hojnych podarków.

Jego święto to dzień radości i wesela. Na smutki, żale i płacze czasu niema, bo dużo rzeczy miłszych i pożyteczniejszych jest do roboty.

To pod poduszkę koleżance wsunąć ukradkiem drobny upominek, to znów w imieniu pocziwego staruszka skrobnąć kilka słów do Kochanego Księdza Kanonika, lub którejś bliższej sercu pani nauczycielki.

Ot i każda godzina jest mile wypełniona.

Otrzymane obrazki, cukierki i desery od Koła „Jedność” będą zawsze miłym wspomnieniem, wywołującym uśmiech w ciągu długiego roku żmudnej nauki.

A wieczorem korona całego dnia — przedstawienie!

Piękne dekoracje, barwne kostjумы, zdumiewająca gra aktorów (przepraszam, aktorek) wszystko to zachwyci i olśniewa widza.

O, bo publiczności nie brak. Sala zapelniona po brzegi.

Grzmiące oklaski rozlegają się raz po raz, a nieustanne „bis” wywołuje artystki po raz wtóry na scenę.

Rok rocznie po skończonem przedstawieniu ukazywał się siwiuteńki staruszek św. Mikołaj, obładowany rozmaitemi podarkami, listami, kolorowymi obrazkami. Lecz w tym roku, niestety, nie ujrzałyśmy go.

Czyżby zapomniał?

To przypuszczenie ścisnęło nasze serca żalem, a po niejednej zasmuconej twarzyczce potoczyła się łza.

Ale nie! Omyliłyśmy się bardzo, bo oto Ks. Kanonik oznajmił nam, że otrzymał z nieba telegram, w którym oczekiwany z takim upragnieniem Gość Niebieski donosił, iż z nadmiaru pracy odwiedzi Rzeczpospolitą Marjowską dopiero w wigilję rozjazdu wesołych jej mieszkańców do domów na ferje świąteczne.

Odetchnęłyśmy z ulgą i z niecierpliwością zaczęłyśmy oczekiwać tej radosnej chwili.

Jedna z tych najmielszych, roześmianych chwil.

Choinka... żarzące się świece, opłatek biały i ten miły rodzinny nastrój, który panował przez cały ten święty wieczór.

Zasłuchane w chóry anielskich hufców, głoszących narodzenie Syna Bożego, który przez miłość do ludzi stał się Człowiekiem, aby nas zbawić i otworzyć nam bramy niebieskie, myślałyśmy o domu, rodzicach i zbliżających się wielkimi krokami świątach... Ale pomimo tych radosnych marzeń jakieś dziwne rozrzewnienie ogarniało nasze dusze, a perliste łzy spływały wolno po rozognionych licach.

A serca, bijąc mocno, wydzwaniały zgodnie słodką melodię miłości ku Boskiemu Dzieciatku, które, wyciągając rączki, błogosławiło światu...

Chciało się wszystkich ukochać i wszystkich przytulić do siebie.

Dobrotliwe i pełne humoru słowa Św. Mikołaja, który jednak o nas nie zapomniał, wyprowadziły nas ze świata roztkliwienia i zadumania.

Końcem rozpoczętego dzieła było ukazanie się przemilego zwierzątka, imię pana wielbłąda, który miał ni mniej, ni więcej, tylko 5 m. długości, 3 m. szerokości i 3 pary nóg, któremi przemierzał salę, czyniąc okropny popłoch wśród rozbawionych uczennic i panienek sprzątających, nie wahających się w obronie swojej osoby wskoczyć na okna i ławki — kaleki —, grożące lada chwila zawaleniem.

Lecz i to się skończyło. Niesfornego gościa wyprowadzono, a pośród zaległej ciszy popłynęła radosna kolenda:

„Bóg się rodzi, moc truchleje”....

*Zosia Małanowiczówna
Marycha Witwicka.*

ANDRZEJKI.

Noc z 29 na 30 listopada zwie się nocą św. Andrzeja i od niepamiętnych czasów ludy wszelkich krajów spełniają w niej rozmaite obrządki zabobonne. I w Polsce jest zwyczaj obchodzenia andrzejek.

W różnych okolicach różne są zwyczaje.

Na Kresach Wschodnich uważają dziewczęta św. Andrzeja za opiekuna małżeństw; dlatego starają się o uzyskanie jego łaskawej opieki.

Na Białorusi np. w wigilję św. Andrzeja postczą przez cały dzień, a wieczorem, klęcząc na grochu lub tatarce, odmawiają 5 pacierzy do świętego Patrona. W Hrubieszowskiem znów wstrzymują się przez cały dzień od pokarmu, nawet od wody, wieczór cały spędzają samotnie, dopiero o północy spożywają trochę maki, zmieszanej z wodą; jeżeli we śnie ujrzą jakiego mężczyznę, będzie to przyszły mąż. Na Mazowszu zgromadzone dziewczęta kładą przed drzwiami kości, ta z dziewcząt wyjdzie pierwsza zamaż, której kość pies najpierw chwyci.

W innych okolicach po całodziennym głodzie dziewczęta spożywają wieczorem śledzia, aby wywołać pragnienie. Jeżeli we śnie ukaże się któryś z nich mężczyzna, podający wodę, ten będzie wybranym przez los przyszłym jej towarzyszem.

Najbardziej powszechne jest lanie wosku lub cyny na wodę i oglądanie cienia, jaki da zastygła już bryłka. Znane jest również puszczenie igieł na wodę; jeżeli się zejda, to i chłopiec zejdzie się z dziewczyną. To znów dziewczęta zdejmują buciki każda z jednej nogi i mierzą nimi podługę; której pierwszy znajdzie się przy progu, ta najpierw wyjdzie zamaż.

Stawiają też zapalone świece w łupinki od orzechów włoskich, puszczając je parami na wodę; jeżeli łupinki zetkną się z sobą, para złączy się węzłem małżeńskim.

W naszej szkole też corocznie bywają tradycyjne andrzejki. Chcę sięgnąć pamięcią i opisać ostatnie.

Trrr... trrr... trrr...

Ach, już dzwonek. Słychać głosy: „Do sali gimnastycznej. Śpieszmy, bo będzie późno”.

Wchodzimy. Tak jakoś dziwnie... tajemniczo.

W środku sali na podłodze błyszczą czerwone światła, wyobrażające ognisko. Naokoło siedzą panie nauczycielki, odpowiednio nastrojone na tak ważną chwilę. Ot, tam w rogu za parawanem wielki ruch. Ciekawość nie daje nam chwili spokoju. Nareszcie dzwonek. Na sali ukazuje się wróżka z ogromną księgą. Zbliża się. — Teraz czyta każdej z pań różne dowcipne zdania, ujęte w rymy. A z kolei i nam wyjawia tajemnice przyszłości. Gdy wróżka zniknęła, wprowadzono gęś. Ta z ruchami pełnymi godności i wdzięku kroczy poważnie, namyśla się głęboko, ale do żadnej z pań nie podchodzi. Na widok dziewczynek ożywia się.

Przed jedną rozkłada skrzydła, macha niemi jak do lotu i gęga pocieszenie, co oczywiście wywołuje wybuchy śmiechu. Bo wiemy to wszystkie, że takie żywe zainteresowanie się gęsi daną osobą wróży jej nadzwyczaj szybkie zamażpójście.

Następnie z za tajemniczego parawanu wnoszą ogromną miednicę, na niej wzdłuż brzegu są naklejone kartki, na których wypisane są zajęcia i zawody mężczyzn. Każda szybko przesuwając pod kartkami zapaloną świecę. Ileż radości, gdy jedna z pierwszoklasistek zapaliła karteczkę z napisem: „marszałek sejmu”; inna znów rozpacza, że jej mężem będzie rzeźnik i kominiarz, bo dwie kartki zapaliły się jednocześnie.

Później, gdy wniesiono ogromną misę z wodą i kubeczek z roztopionym woskiem, ścisk się zrobił niemożliwy, a wesołe wybuchy śmiechu zagłuszyły pojedyncze słowa. Lecz niestety, doznałyśmy rozczarowania, gdyż panie nie chciały wiedzieć, jakich kształtów będą przyszli ich mężowie i tylko puszczały na wodę po dwie kropelki wosku. Niektóre kropelki łączyły się wśród ogólnej radości, inne znów odpływały od siebie.

Lecz gdy zaczęły sobie wróżyć starsze koleżanki, co chwila wybuchały ogłuszające kaskady śmiechu. Figury przyszłych mężów wychodziły potwornie, istne straszdyła. Jedna ułala dość okrągłą kulę, jeszcze inna poczwarkę.

Na podobnych wróżbach, zabawach i śpiewaniu czas zleciał szybko. Dzwonek na pacierz oznajmił, że czas skończyć wróżby i położyć kres wesołej zabawie.

Późno wieczorem dały się słyszeć szepty ciche i przytłumione śmiechy, a nieraz głos pełen przerażenia przerwał zwykły spokój. To któreś z koleżanek, robiące mostek (kubeczek, pełen wody, ze żdźbłem słomy), rozlały przez nieuwagę wodę i zepsuły mostek swej koleżanki.

Inne nagwałt studjują kalendarz ze świętymi, wypisując imiona na karteczkach, by je włożyć pod poduszkę.

Nazajutrz rano każda ledwie otworzy jedno oko, już ciągnie karteczkę z pod poduszki i czyta, jakie imię będzie miał przyszły mąż.

Cały dzień na przerwach i podczas drugiego śniadania rozbrzmiewają głośnie śmiechy i żarty na temat minionych andrzejek i pomyślnych lub niezbyt pomyślnych wróżb.

Tola Szczerbińska kl. VI-ta.

„Jeden z nas musi się ożenić.”

„Ach, jaką mam tremę, — zwierza się Irka Krysi — przecież dopiero przedwczoraj dostałam rolę, a jutro przedstawienie”.

— „E.. ja też nic nie umiem” — pociesza ją Krysia.

„A to pięknie, ślicznie, — irytuje się jakaś trzecia osoba, słuchająca całej rozmowy — no, zresztą nie dziwię się, przecież jesteście w klasie, o której wyrobili sobie wszyscy (ach, jak bardzo niesłuszną) opinię: klasa trzecia (i pewno potem czwarta) nic nie warta.

„Lepiejbyś nam nie dogadywała, a pomogła w wyszukiwaniu strojów. Ja przecież jeszcze nie mam spodni, a buty.. cha, cha, czy to mają być buty? Gumowe wysokie śniegowce, w dodatku z wielkim wentylatorem z tyłu. Ach, głowa mi pęka! Niech to się wszystko samo znajdzie! Jakam zła!” — i Krysia, zatrzasnąwszy z hałasem drzwi, ulatnia się w poszukiwaniu garderoby.

Irka, stateczniejsza od swojej partnerki, wzruszywszy ramionami, uczy się:

„Dzieńdobry! — nie, to nieładnie brzmi.. dzieńdobry! — jeszcze gorzej! — a wkońcu — dzieńdobry, mój bracie” i zadowolona z rezultatu porządku w dalszym uczeniu.

— — — — —
Sala wypełniona po brzegi wytworną publicznością.

Wielkie afisze głoszą, że dzisiaj zostanie odegrana komedia „Jeden z nas musi się ożenić” przez uczennice klasy III-ej.

Światła przyćmione. Gwar rozmów. Ogólne oczekiwanie. Czasem okrzyki zniecierpliwienia.

A co się dzieje za kulisami? Ach, co się tam nie dzieje!

Oto Krysia z wielkim krzykiem oznajmia wszystkim, że jej spodnie źle leżą.

Irka zaś zawzięcie szuka czapki, mając ją na głowie.

„Zosiu, Zosiu, — woła Pani — czy już jesteś ucharakteryzowana?”

„O już, już, proszę Pani, jeszcze tylko brwi, usta, no i upudrować”

Sylwa, postawiwszy małe lusterko na ziemi, chce koniecznie ujrzeć swą figurę, wciśniętą w suknię o wiele za szczupłą.

Kilkanaście dziewczynek kręci się przy ubieraniu sceny.

Hałas nie do opisanie i zamieszanie okropne.

Nagle dzwonek! Pierwszy dzwonek! Chwila jeszcze większej bieganiny, lecz już po niedługim czasie wszystko się uspokoja.

Widzi się tylko „artystki” i „artystów”, przepowiadających swe role.

Dzwonek drugi i trzeci. Światła na sali gasną. Kurtyna się odsłania. Oczom naszym ukazuje się pokój dwóch wiecznie pracujących studentów, zasypany książkami, zeszytami, papierami i papierkami.

Po lewej stronie stoi „tajemnicza” kanapka, która (tak przynajmniej myślą widzowie) jest namagnesowana, bo przyciąga do siebie wszystkich grających.

Przy niej rozmawiają bracia o swoich studjach. Ciocia, siedząc na niej, perswaduje swoim siostrzencom, że jeden z nich musi się stanowczo ożenić, bo taka była wola ich umierającego ojca.

Obok niej medytują „biedni skazańcy” o swoim nieszczęściu. W pobliżu niej wreszcie odbywają się oświadczenia z kartką i bez kartki, oraz pomyślne zakończenie.

Teraz na pewno każdy się domyśla, że za kanapką siedzi zbawienny sufler, który w najbardziej krytycznej chwili rozjaśnia mroki ciemnej móżgownicy.

Jednak pomimo wszystko przedstawienie się udało nadspodziewanie, przynajmniej tak zdawało się aktorkom, bo gdy kurtyna spadła, sala aż zatrzęsała się od oklasków, a ze wszystkich stron zaczęło się sypać „biś! biś!”

Ale trudno, żeby Ferdynand bez przerwy się żenił, a biedny Krzysztof słuchał bez przerwy za parawanem jego oświadczenia; lecz aby nie robić przykrości widzom, którzy tak silili się na oklaski, obiecują solennie jutro powtórzyć swoje dzieło (ale małeńkie zastrzeżenie: wstęp na salę teatralną będzie wynosił od 10 gr. do 1 zł.).

Nazajutrz w sali robót, która służy za garderobę, od południa gwar nie do opisanie.

Ciocia poprawia bez przerwy swój kokieterijny pieprzyk, p. Zofja przymierza suknię trochę za szeroką, a Ferdynand podciąga swoje długie spodnie. Nad Krzysztofem trzuci się biedny pan malarz, nie mogąc w żaden sposób zaczesać jego długich włosów, które, nie zważając na groźby i prośby, spadają natrętnie na czoło.

Już wszystko gotowe. Artyści, piękniejsi niż byli kiedykolwiek, oczekują z dreszczem dzwonka.

Nareszcie... kurtyna się podnosi. I... oniemieli. Na sali siedzi trzech wiejskich chłopczyków. Tyle pracy i zdenerwowania i naco? Ale najwięcej złościła się Sylwia. W żaden sposób nie mogła się z tem pogodzić, że musi skasować swój piękny pieprzyk, który malowała może troszeczkę więcej niż półtorej godziny; rozgniewana mówiła, że nie myśli na drugi raz tak męczyć się bez potrzeby.

Za niecały jednak tydzień złamała biedaczka swoje przyrzeczenie, a jak to było, proszę posłuchać.

Salę zalega głęboka cisza... Wszystkie głowy zwrócone w stronę sceny wszyscy obserwują z zaciekawieniem minę pięknej Zofji, myślącej nad tem, jak przemówić do swoich opiekunów, aby pozwolili jej wyjść za Lubomira.

Ach, to V kurs wystawia „Zrzedność i przekorę.” Wtem na widowni powstaje zamieszanie, pierwszoklasistka oznajmia Zosi M., że wszyscy proszą, aby powtórzono „Jeden z nas musi się ożenić”.

— „Co, teraz, w tej chwili? — pyta wystraszona Zosia, szukając w tłumie Krysi, Sylwji i Irki — przecież nie zdążymy!”

Ale po chwili w sali robót rozrywano sobie szminki, puder, spodnie, kamizelki, koszule i suknie, latano z globusem, bukietem i perfumami.

„A gdzie kanapka? — pyta Ferdynand — przecież bez niej wszystko nanie, musimy koniecznie ją przytransportować!” „O, nie da się to zrobić — odpowiada zrezygnowany Krzysztof — przecież przez widownię jej nie przeniesiemy, a dźwigać ją przez trzy piętra nie myślę — jest dosyć ciężka!”

„Ach, to ostatecznie głupstwo” — słysząc płaczliwy głos Sylwji, która już zupełnie zapomniała o swoim postanowieniu i teraz z zapalem, równym poprzedniemu, maluje piękny pieprzyk.

A po niedługim czasie widzowie zaśmiewali się po raz drugi z Krzysztofa, oświadczającego się z kartki, i z innych nie mniej śmiesznych momentów. Ale zbawiennej kanapki tym razem nie było.

To też nic dziwnego, że po takich przygodach komedyjka ta dobrze się wszystkim upamiętniła, a mała Krysia z kompletu do tego czasu, gdy zobaczy którąś z grających w tej sztuczce, krzyczy na cały głos z zadowoloną miną: „Panno ciociu... Panie Krzysztofie... panie Guwernanciel!”

Krysia Czechówna

i Irka Lipkówna kl. III-cia.

IMIENINY PANA PREZYDENTA.

Nadszedł pierwszy luty, dzień imienin Pana Prezydenta. Cała Polska obchodziła go uroczyście. Gdy we wszystkich miastach odbywały się defilady i akademje, gdy wszyscy starali się spędzić ten dzień jak najuroczyściej, my także chcieliśmy okazać swą wdzięczność i miłość do Pana Prezydenta, urządzając akademję.

W przybranej zielenią i barwami narodowymi sali teatralnej zebrała się szkoła i ludność z pobliskiej wioski.

„Ach, nareszcie!” — westchnienie ulgi obiegło salę, gdy odezwał się głos dzwonka.

Kurtyna rozsuwa się powoli. Na scenie stoi grupa dziewczynek. To chór... Wesoła melodia „Kantaty” przepłynęła po sali. Kurtyna zapada, aby za chwilę rozsunąć się i pokazać najważniejszy punkt programu.

Teraz scena przedstawia izbę harcerską, w której sprząające druchny rozmawiają o generalnej próbie dzisiejszej uroczystości. Wtem wchodzi drużynowa z zastępami i zaczyna się rada drużyny. Każdy zastęp pokazuje, co przygotował. Jedna z zastępu „Limb” wygłosiła wiersz Janiny Zabierzewskiej „Rzeczpospolita,” „Wapienie” opracowały bardzo ciekawy

referat o Panu Prezydencie. Po wygłoszeniu go na prośbę drużynowej zaśpiewały wszystkie jej dwie ulubione piosenki: „Wojenko, wojenko” i „Przybyli ulani”.

Następnie zastęp „Granitów” dał deklamację chóralną „Panie Prezydencie,” która powiedziana była przez harcerki, przebrane za przedstawicieli różnych szkół i organizacyj.

Do tej pory akademja miała charakter poważny. Gdy wtem wstaje zastępowa „Potoków” i z tajemniczą miną mówi: „Ja potraktowałam rzecz na wesoło i przygotowałam... zresztą za chwilę same zobaczycie”.

Odezwały się dziarskie tony krakowiaka i na scenie z wielkim rozmachem wbiegły cztery pary chwackich Krakowiaków i Krakowianek. Tańczyli i przytupywali z taką werwą i zapałem, że nie przeszkodziło im pęknięcie struny i sfalszowanie melodji z tego powodu.

Gdy skończyli, harcerki na scenie, a za nimi wszyscy zebrani odśpiewali razem hymn państwowy.

Na tem akademja ku czci Wielkiego Solenizanta zakończyła się, ale chyba długo pozostanie w pamięci wszystkich obecnych.

*Hania Mydlarsówna
i J. Jędrzejczykówna kl. II.*

WIECZÓR ŚLĄSKI.

— O, piękna ziemio śląska, stworzona Boga uśmiechem,
Chłoniemy cud twego ciała z zapartym z podziwu dechem.
Świecisz w klejnocie Polski, jak zorza świeci poranna,
Śpiewamy Ci z głębi serca: Hosanna Tobie, Hosanna!

* * *

Śląsk jest piękny. Piękny w każdym tego słowa znaczeniu. W twardej, wytrwałej pracy, w wielkiem ukochaniu Polski, w zmaganiach się z siłami natury, w malowniczym krajobrazie, w tajemniczych legendach, w pięknych strojach i śpiewach.

Ślązak w zmaganiu się z przemocą obcych panów, w upartej walce z nieurodzajną ziemią stał się człowiekiem o stalowych nerwach, o twardych dłoniach — mocny, szorstki. W ciągu wieków kształtował z siebie nowoczesny typ dawnego rycerza kresowego, co przyrzekł stać opornie na swej ziemi, zamieniając się w warownię polskości, o którą załamuje się napór czeski i niemiecki.

Ziemię śląską otacza tajemnicza mgła podań i legend. Podają je sobie Ślązacy z ust do ust, aż urosły do przedziwnych rozmiarów nieprawdopodobnych wprost bajek. W legendach tych przebija się silne uczucie miłości do swej ziemi. Bo Ślązak ukochał swą ziemię nad życie.

Dziwnie piękna jest gwara śląska. Pominąwszy naleciałości niemieckie i czeskie, które wkradły się w mowę Ślązaka, nic nie uchybia jej urodzie. Zapytać o coś napotkanego gazde, odpowie językiem, którym ludzie w Polsce przed wiekami mówili...

Śląsk jest dzielnicą regionalną naszej klasy. Przez cały rok pracujemy nad jego poznaniem: rysujemy mapki, wygłaszamy referaty, uczymy

się gwary, piosenek i tańców. A im więcej poznajemy, tem bardziej kochamy piękną ziemię śląską.

Chciałyśmy, aby i inni ją poznali i pokochali. Ale w jaki sposób? Biedziły się nad tem długo, długo nasze główki, aż wreszcie padł pomysł: przygotujemy „Wieczór śląski”. Świetnie, wysmienicie! Zabrałyśmy się z zapalem do dzieła. Pracowałyśmy wytrwale. I 9 lutego odbył się nasz występ. Trema, ach, ta trema! To dziwne uczucie skierowanych na siebie, zda się, niezliczonej ilości oczu... „Kto chce poznać piękno Śląska, niech się uda do Cieszyna!” Toła wygłosiła wiersz, a potem referat.

Kurtyna się rozsuwa. Widać śliczną grootę skalną i zadumanego górala. Ślązak — góral nie porzuci swej ziemi dla największych bogactw.

Dla smyrków i jodeł na wietrze rozkolibanych, dla groniów najmilejszych, dla potoków przeźrystych, dla miesiőnczka jasnego, dla gronia Ślązak duszę swą odda...

Zapowiedź piosenek. O, jak ich dużo! Śpiewamy „i na smutno i na wesoło”. Rozbrzmiewają melodje piosenek: żołnierskich, weselnych, wiosennych, o moiczku i wiele innych.

Aż wreszcie tańce. Trojak. Mienia się różnokolorowe stroje, brzęczą sznury koralí, rozwiewają pęki wstążek... hej... „Tam na górze góraleczek gromada, gromada. Czemuż się nie wydała, klejś młoda...” A potem inne... i goniony i wygrażany. Bis, bis! Ojoj, a tu nogi boją i w głowie się kręci. Lecz to fraszka. Jeszcze powtarzamy „Idź sobie, chodź do mnie,” a uśmiechamy się przytem słodko, to znów spuszczaemy skromnie w dół oczy. I jeszcze... w takt smętnej i powolnej melodji tańczymy „od buczku do buczku” poważnie i smutno. Ostatni raz, kurtyna spada. Koniec.

Owacje, gratulacje, powinszowania i radość, wielka radość. Z szesnastu gardel wznosi się okrzyk: „Hip, hip, hurra, na cześć pani Wychowawczyni, na cześć panny Michalewskiej, panny Gregorczykówny!”

Nie na darmo włożyłyśmy tyle pracy, odniosłyśmy wspaniały sukces, wszyscy byli nami olśnieni i zachwyceni.

Byłyśmy bohaterkami dnia, a właściwie wieczoru. Ale co te bohaterki wyczyniały za kulisami w czasie przedstawienia! Ojoj! Tu Irka stoi już w stroju Ślązaczki z bródką i wąsami (pozostałości po dzielnym rycerzu), ja wyglądam tak samo (resztki górala). A tu szminka tłusta i wcale nie chce się zmyć. Tragedja! Wszystkie mamy tremę i trzęsiemy się jak listki osiki. Wogóle cuda się dzieją za kulisami i na scenie. Góral-Brząkała odejmuje skrzypki od brody, a one grają, grają... Jakim sposobem? Nic dziwnego, gdyż panna Michalewska grała za sceną. Mimo tego wszystko się nam udało i pozostały na zawsze miłe, nigdy niezatarte w pamięci naszej wspomnienia o „Wieczorze śląskim”.

Wisła Rakowska kl. VI.

ŚWIĘTO MORZA.

Jeden dzień w roku jest poświęcony morzu. W dniu tym wszystkie myśli Polaków biegną ku temu małemu skrawkowi naszego wybrzeża.

I serca uczennic z Marjówki skierowały się ku północy, ku szmaragdowym fąlom Bałtyku.

Wyrazem naszych myśli i dążeń była piękna akademja, która obyla się tego samego dnia wieczorem po kolacji, to zn. 15 lutego. Na odgłos dzwonka rozmowy i śmiechy milkną. Przed sceną ukazuje się referentka. Na twarzy jej maluje się wielka powaga, bo przecież dla takiej drugoklasistki to zaszczyt nielada. Referat p.t. „Morze,” jak je zdobyliśmy, jakie jest piękne i drogie, jak wielkie ma dla nas znaczenie.

Przed oczyma naszymi przesuwają się coraz to nowe obrazy. To morze ciche, spokojne, lśniąca purpurą w promieniach zachodzącego słońca; to wzburzone, z pociemniałą głębią wód, które pochłonięły już tyle kochających je serc.

Na sali cisza...

Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonąć z zachwyty, gdy zobaczyliśmy biednego marynarza Juliczka. Gdy był małym chłopcem, umarli mu rodzice, to też nie miał kto się zająć jego wychowaniem. Ale w święty wieczór wigilijny budzi się coś w sercu Juliczka. Anioł-Stróż czuwa nad nim. Dzieli się opłatkiem z samotnym marynarzem i śpiewa znaną kolendę, nad której przypomnieniem biedził się Juliczek napróżno. Jedno tylko „Ach, jak pięknie” wydobyło się z piersi dziewczynek.

Po chwili oczom naszym ukazuje się jeszcze coś piękniejszego: na tle morza w takt cichej i upajającej muzyki tańczą cztery dziewczynki, przedstawiające fale morskie.

Ach, jakże ślicznie wyglądają, jak jakieś muzy czy boginki leśne. Kibić ich gnę się równo, spokojnie i miarowo. Sukienki ich niebieskie z krótkimi, bufiastymi rękawkami przypominają wzburzone fale. A główki ich tulily się i pochylały jak okręt rozbity, który pochłaniają głębiny morskie. To znów tancerki przyklekają, wznoszą się, ruchy ich są szybkie i gwałtowne, zda się, że to żagle rozpięte szamocą się z wiatrem i za chwilę rozerwą się, upadną, zginą, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Ze smutkiem patrzyliśmy na ostatnią figurę tańca, gdy meduzy, muszle i fale ustawiły się i zamarły.

Żal nam było, że już się skończył. Był tak lekki, że nawet nie myślałyśmy, że to tańczyły nasze koleżanki, lecz jakby żywe fale morskie, okryte białą pianą, fale naszego Bałtyku.

Lenka Krupianka

Marysia Wojciechowska kl. III.

Z za kulis teatru marjowskiego.

„Marie, podaj mi lusterko, prędko.”

„Ojej, gdzie kokarda? Niebieska ko...”

Ale druga przerywa jej: „Rola, rola, muszę powtórzyć”...

Takie i tym podobne okrzyki rozlegały się w pracowni, w której ubierały się przyszłe sławne artystki, biorące udział w „Posażnej jedynaczce”. Ale to jeszcze nie w porównaniu z tem, co się działo na scenie.

Kilka dziewczynek, stojąc na drabinach i wieżach z krzesel, zawieszalo z pośpiechem dekoracje; inne ustawiały meble lub wieszały na improwizowanych ścianach obrazki i firanki; ostatnie zdenerwowane biegały ze sceny do pracowni, chcąc wszystkim pomagać. Między nimi płały

się artystki dziwacznie ubrane, wykonujące różne ruchy; powtarzały one role, z których słyhać było urywki wokoło, głosy ich mieszały się.

Oto jedna, grająca rolę Błażeja, starego sługi, chodzi po pokoju, obijając się o inne: „Czy to nie lepiej, mając pięć córek”...

Przerywa jej druga: „Tak się z nami nie obejdziesz, do stu dja”... Nie kończy, bo nagle rozlega się huk; stos stołków, poruszonych przez którąś z artystek, pada na podłogę, wzniecając popłoch wśród dziewczynek. Awantura!

Naturalnie! Wpada jedna z pań, zdenerwowana, z gotową burą, gdy nagle staje się coś nieoczekiwanego, coś, co zmieniło całą burzę w spokój...

Wśród ciszy, która zaległa scenę po wypadku, rozlega się grobowy głos jednej z artystek, powtarzającej rolę i nie zwracającej uwagi na wybuch: „A jak źle!”

Całe przedtem skupione towarzystwo wybucha niepohamowanym, nieco nerwowym śmiechem. Nawet pani zanosi się od śmiechu. I bura jakoś przechodzi.

Ale już czas, trzeba dzwonić. Drrr... dyń... dyń...

Rozsuwa się kurtyna. Za sceną milkną śmiechy i rozmowy, gdzie nigdzie słyhać tylko przyciszone szepty.

Zachwyconym i olśnionym oczom widzów ukazuje się ojciec i jego pięć „jedynaczek”, z których każda wydaje zamaż. Żadna z córek nie wie o istnieniu drugiej i z tego wynika nieporozumienie, które wkrótce się wyjaśnia. Wszystkie córki zjeżdżają się niechcący na imieniny ojca (a każda z mężem lub narzeczoną) i tam poznają się i dochodzą do porozumienia. Już koniec.

Ostatnie słowa grających zagłuszyły brawa na widowni.

Za sceną ruch. Już minęło napięcie nerwów. Artystki rozbierają się prędko i pomagają drugim. Jednej wasy, przyklepione klejem, odrywa sześć dziewczynek, drugie mocują się z sukienką przyszytą do halki, wszystkie kończą swoje zajęcia, ale z utajonym na dnie duszy żalem, że już się skończyło.

Basia Zarembianka kl. II.

TLUSTY CZWARTEK.

„Chodźcie prędko do klasy! — krzyknęła któraś, wbiegłszy do sypialni — Baśka coś powie”.

„Prędko! Prędko!” — słyszę nawoływania i za innymi biegnę do klasy.

Tu pierwsze moje spojrzenie pada na tablicę, na której narysowana jest patera z paczkami i rymowany wierszyk, apel do serc pań nauczycielek. Był on takiej treści:

„Paczki, paczki, chrósty, chrósty,

Niechaj żyje Czwartek Tłusty!

O! niech pani się zlituje!

Wszystkie dwóje pozmazuje!

Aby panie lepiej zrozumiały, co miał on wyrażać, wyrazy „dwóje pozmazuje” podkreślone były do końca tablicy liniami.

W otoczeniu dziewczynek stoi już Baśka i mówi, co mamy robić na pierwszej lekcji, którą jest matematyka. „Tylko bądźcie cicho i słuchajcie

p. profesora!" — zakończyła przemowę. „Profesora? Ach! to pewnie naszego Pitagoraska — Hele?" „Tak!" — odpowiada, śmiejąc się Baśka. „Ależ naturalnie! naturalnie! będziemy słuchały" — zgadzają się dziewczynki.

W tej chwili zabrzmiał dzwonek i pobiegłyśmy na śniadanie. Przed lekcją byłyśmy bardzo rozgorączkowane. Każda pośpiesznie drugim końcem obsadki na świstku papieru malowała jakąś cyfrę. „Dziewczynki, p. matematyczka już idzie!" — krzyknęła naraz Wandzia. Zaczęły się głośnie potykania o ławki, przewracanie krzesel, ale gdy pani weszła do klasy, zastała wszystkie na miejscach... i... wzorową ciszę. W ciszy tej dał się słyszeć jakiś niecierpliwy głos: „Czemu ta Hele jeszcze nie wchodzi? Przecież już czas". Pani siadła na katedrze i jak zwykle miała zacząć lekcję od pytania: „Która nieobecna?" Gdy wtem... otworzyły się z trzaskiem drzwi i do klasy z wielkim impetem wpadł... „profesor". Kilka dziewczynek wybuchnęło śmiechem, a pani ze zdziwieniem spojrzała na przybysza. Ten z łobuzerską miną zatrzymał się na środku i zawołał prawdziwym basem: „Dzieńdobry, panienki!" O parę tonów wyżej odpowiedziały mu uczennice. Pani spojrzała jeszcze raz na „profesora" i ku ogólnej, objawiającej się dzikimi wrzaskami radości siadła, ale w ławce.

Nowy „p. profesor" zajął miejsce na katedrze. „Dziś przerobimy kilka równań" zaczął lekcję. „Cztery X"... — z końca klasy odezwał się głośnie stuk upadającego krzesła i na środek wybiegła Kryśka z przypiętą do fartuszka czwórka, a za nią Halinka z X. „Profesor" pisał dalej na wolnej połowie tablicy liczby, a miejsce na środku klasy wypełniało się dziewczynkami, z których każda miała przypiętą na piersi cyfrę. Gdy „profesor" wymówił: „Minus zamieniamy na plus," kartka na fartuszu Dziśki odwróciła się i na niej był już plus. I tak całą godzinę wykonywał „profesor" równania na dziewczynkach, a gdy dzwonek zadzwonił na przerwę, zrobiło mi się żal, że tak prędko minęła.

Drugą lekcją była religja, ale prosiłyśmy tak długo ks. Kanonika, aż pozwolił nam iść na V-ty kurs. Ustawiliśmy się więc szeregiem i z wielkim triumfem pomaszzerowałyśmy. Na przedzie w długich prześcieradłach kroczyli z powagą kapłani, za nimi szedł P. Jezus w nocnej koszuli, M. Boska i „p. profesor". Miało być pół godziny matematyki, a pół religji. Zaczęłyśmy od matematyki. Znowu podziwiali wszyscy naszego „profesora," który wykonywał równania na dziewczynkach. W skupieniu przysłuchiwali się na drugiej połowie lekcji mądrym zapytaniom Jezusa i niebardzo mądrym odpowiedziom kapłana, śmiejąc się półgłosem. Ta scena miała przedstawiać znalezienie P. J. w świątyni.

Na zakończenie lekcji z wrzaskami, godnemi dzikusów z Afryki, obeszyłyśmy salę rekreacyjną 2-go piętra i byłyśmy b. zadowolone, gdy uchylały się drzwi od innych klas, a z nich wyglądały zgorszone panie.

Na historii miał być „hołd pruski." Zrobiłyśmy więc wysoki tron z kilku krzesel, na którym zasiadł Zygmunt Stary i królowa Bona. U stóp króla w pstrokatym stroju z ogromną trąbą (od zepsutego gramofonu) rozsiadł się wygodnie królewski błazen Stańczyk. Błaznem tym byłam ja i wstydziłam się trochę, że nim jestem, bo chociaż Stańczyk był mądrym błaznem, ale zawsze... Uspokajałam sumienie, że to dla dobra klasy i chyba dlatego pomyliłam się „w trąbieniu," gdyż zawołałam: „Oto nadchodzi król Albrecht, aby złożyć hołd księciu Staremu." Na szczęście nikt tego nie

zauważył oprócz króla, a ten wybaczył swemu błaznowi. Wszystkie oczy zwrócone były na Albrechta, który na poduszce z otomany niósł otwartą książkę ze słowami przysięgi (Wandzia-Albrecht nie zdążyła się nauczyć), a na niej chleb i sól. W lewej ręce trzymał proporzec lenny (był to długi kij do otwierania okien, na czubku chwiał się stary kapelusz). Zaczęła się przysięga. Nastąpiło kłopotliwe milczenie, gdy w pewnej chwili zamknęła się książka i Albercht cały czerwony przestał mówić. Wkrótce jednak odzyskał krzyżacką zuchwałość i głosem pewnym wymówił: „Oddaję Prusy Królewskie i wszystko, co potrzeba.” Cała klasa wybuchnęła śmiechem, a Albrecht, zakończywszy przysięgę, podniósł się i z godnością (ale bardzo czerwony) opuścił salę.

Na francuskim był sklep, w którym kupujący i sprzedający mówili tylko po francusku, a gdy się czasem omylili (co zdarzyło się kilka razy), podpowiadała im Madame. Na polskim było także b. wesoło. Zainscenizowałyśmy scenę z czytanki „45 cud św. Kingi” (przerobionej już dość dawno). Zakonnice miały habity z kilku pozszywanych fartuszków, a kornety z ręczników. A gdy już przeszły wszystkie lekcje, zrobiło nam się trochę smutno, że tak prędko minęły wesołe chwile, lecz gdy na kolację dostałyśmy doskonale pączki, smutek nasz rozwił się jak dym.

Jadzia Jędrzejczykówna kl. II-ga.

KONCERT.

Był to pierwszy „prawdziwy” koncert w Marjówce.

Często słuchaliśmy poranków muzycznych przez radjo, ale to było tylko przez radjo, chociaż i wtedy cieszyliśmy się, gdyż lubimy muzykę, a poza tem... przepadała jedna lekcja.

Wszystkie schodzimy do sali teatralnej, gdzie już stoi pianino, pulpity do nut i zainstalowany patefon. Chwila oczekiwania... już! Nie, to dopiero wstęp. Panna Michalewska, nauczycielka muzyki i śpiewu, wygłasza referat. Dowiadujemy się, że dzisiejszy koncert będzie poświęcony muzyce Moniuszki, a przytem zapoznajemy się z życiorysem tego wielkiego polskiego kompozytora.

Wchodzą seminarzystki wraz z nieodstępniemi skrzypcami, zasiadają przy pulpitych z nutami i po chwili rozbrzmiewa polonez z opery „Hrabina.” — Bis, bis... No, i naturalnie znów podziwiamy grany „na bis” „Mazurek” — Moniuszki.

A teraz solistki. Czy tylko im się uda? Nawet i my, słuchaczki, mamy treść... Akompanjament, a potem silny głos Reni: „Znasz li ten kraj” — Śliczne. Teraz kolej na Zosię i już słyhać jej miły głos, śpiewający „Chochlika” — Moniuszki. Jesteśmy zachwycone, co objawiamy silnem biciem brawa i nawet (o zgrozo!) okrzykami.

Ale już ukazuje się ustawiany w półkole chór szkolny i rozbrzmiewają znów melodie dwu utworów Moniuszki — skocznego „Krakowiaka” i „Piosnki Romussy.” I to wzbudza ogólny zachwyt. A teraz... Tego oczekiwaliśmy z niecierpliwością, to chyba będzie najpiękniejsze. Najpewniej, gdyż grają dwie panie nauczycielki: panna Michalewska — skrzypce — pani łaciniczka — akompanjament. Smętne tony „Dumki” Moniuszko — Melcer sączą się do bijących serduszek słuchaczek... Teraz już ręce boją, tak

bijemy bis. Jeszcze, jeszcze... I panie ulegają naszym prośbom, a my znów zasłuchane podziwiamy: „Walca” A—dur Brahms’a i „Serenadę” Schuberta d—mol. Słuchałybyśmy tak wiecznie, ale niestety muzyka cichnie... Jaka szkoda!

Jeszcze słuchamy płyt z zainstalowanego gramofonu. Jest to arja z Opery „Straszny dwór” i mazur z opery „Halka” — Moniuszki. I to już koniec.

Oczarowane opuszczamy salę i, podziwiając piękno dzisiejszego wieczoru, który był prawdziwą uczcą duchową, przypominamy sobie słowa Beethowena: „Muzyka jest jedynym nieucieleśnionem wnijsciem w wyższy świat wiedzy, który wprowadzie ogarnia człowieka, lecz on ogarnąć go nie może...”

Wisła Rakowska kl. VI.

COMME à PARIS.

„Le 3 février 1936 à Marjówka aura lieu...”

„Co to jest? POCO one wywiesiły ten afisz francuski? Ciekawa jestem, co odbędzie się w tej Marjówce, bo dalej ani słowa nie rozumiem” — wołała któraś z małych.

Prawie równocześnie zjawiała się starsza koleżanka i po przeczytaniu wyjaśniła: „Jutro wieczorem odbędzie się przedstawienie francuskie. — Na program składają się następujące rzeczy: „Poisson d’ avril” — t. zn. kawał prima-aprilisowy, „Czerwony Kapturek” i... jeszcze coś, ale nie powiem co.”

„Cha, cha, cha, — zaśmiała się mała — nie powiesz, bo naturalnie sama nie rozumiesz”. „E, — obruszyła się tamta — rozumiem, ale nie powiem ci, bo nie będziesz ciekawa”.

Na tem skończyła się ich rozmowa, lecz co chwila któraś z uczennic zatrzymywała się przed wielkim afiszem i wykrzykiwała, dziwiąc się wielkiej sensacji: przedstawienie francuskie! Polskie odbywają się dość często, ale francuskie!...

Niedziela, godzina 5 $\frac{1}{2}$ wieczorem. Na sali pełno dziewczynek i gości. Krzesła, krzeselka i stołeczki, które jeszcze przed $\frac{1}{2}$ godziną były rozsiane po całej sali, teraz stoją przykładowo w rzędach. Pierwsze miejsce zajmuje grono nauczycielskie i goście, zaproszeni przez szkołę. Dalej zasiadają dumne piątokursistki, udając wielką powagę.

Za niemi sadowią się starsze klasy gimnazjum i wreszcie najmłodsze wychowanki. Zbliża się chwila podniesienia kurtyny i oto do którejś z trzecioklasistek przybiega chmara małych i, przymilając się, błaga usilnie:

„Będziesz nam tłumaczyła, kochana, prawda? Bo chyba same nie wiele zrozumiemy”. Ta ostatnia zgadza się naturalnie, bardzo zadowolona, bo przecież może uchodzić za „mądrą”.

Baczność.

Dzwonek zadzwieczał trzei racz! Kurtyna się odstawia i oto oczom naszym ukazują się dwie pensjonarki. Na sali zupełna cisza...

„Le poisson d’ avril.” Teraz będzie „Ryba kwietniowa” — woła któraś uradowana, że wie, co znaczy po polsku „le poisson”.

Gdy tylko panie i starsze dziewczynki zaczynają się śmiać, młodsze wtórują im, ale bardzo niepewnie. Ostatnie słowa pierwszego dialogu wywołały głośną salwę śmiechu.

Na sali gwar i ruch... Wszystkie sobie opowiadają to, co zrozumiały. Słowo po słowie i domyśliły się jakoś sensu! Oto dwie koleżanki spotkały się na ulicy i rozmawiają o kinie. Jedna z nich opowiada, że była na pięknym filmie, że artysta podszedł do niej i razem śpiewali. Tamta nie chce wierzyć, lecz przyjaciółka jej odpowiada, że śpiewała piosenkę pod tytułem „Poisson d' avril”. No i wyjaśnia się odrazu wszystko. Obie zaczynają się śmiać.

Potem było „A malin, malin et demi”. Prawie wszystkie głośno się, co to ma znaczyć.

Teraz ma się odbyć najgłośniejsza część dzisiejszego wieczoru, przedstawienie p. t. „Le petit Chaperon Rouge”. Wszyscy oczekują z napięciem, gdy nagle z za kulis daje się słyszeć płaczliwy głos: „Gdzie moje druty? Z czym ja babcia pójdę na scenę?”

Lecz po chwili kurtyna się odsłania i widzimy Czerwonego Kapturka, idącego przez las. Najtragiczniejsze, ale zarazem najśmieszniejsze momenty były wtedy, gdy wilk rzucił się na babkę i biednego Kapturka.

Ostatnim punktem programu była piosenka „Ma Normandie”, którą odśpiewały starsze dziewczynki. Przedstawienie skończone. Wszyscy zaczęli się tłoczyć do wyjścia, tylko dwie dziewczynki, siedząc w kącie, opowiadały sobie wrażenia.

„C' est comme... comme à Paris” — wykrzyknęła jedna z nich uradowana, że umiała po francusku wyrazić swoje uznanie dla marjowskiego teatru.

Zosia Zdarska kl. III.

SODALICJA.

Dzień wielki, dzień uroczysty! Święto Królowej Anielskiej, Przeczystej Matki Syna Bożego. Święto Marjii Kocha Ją cały świat, każde najdrobniejsze stworzenie pragnie złożyć Jej hołd.

Więc i my w dowód wdzięczności ku Niebiańskiej Dziewicy staramy się uczcić i spędzić Jej święto jak najlepiej

Robimy więc wszystko, co w naszej mocy, aby okazać Jej naszą wielką miłość i przywiązanie.

— — — — —
Cisza na sali...

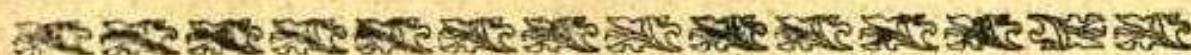
Słychać tylko przyspieszony oddech kilkudziesięciu piersi i kilkadziesiąt par oczu wpatruje się z zaciekawieniem i zachwytem w rześniętą oświetloną scenę.

A tam... Przestódka twarz Madonny w aureoli złotych włosów, opadających w lekkich splotach na szate, przypominającą błękitne stropy niebios, zwracała się ku nam, obejmując jasnym i kochającym spojrzeniem swe dzieci... My, wpatrzone w świętą postać Niepokalanej, biegliśmy do Niej myślą, składając u jej stóp serca, płonące gorącym uczuciem miłości.

Nagle panującą dotąd ciszę przerwały słowa pełne mocy i cichej radości; słowa, opiewające nadziejską dobroć i poświęcenie Tej, która nie-
skalanie przeszła przez życie.

A potem popłynęły rzewne tony rajszych skrzypek... Zawtórowały im drżące wzruszeniem młode głosy: „Ave, Maryjo! Ave!”

Mal—Wit.



DZIAŁ BYŁYCH WYCHOWANEK.

NA EMIGRACJI

Przezytałam *Brzask* i siadam w tej chwili, by pogawędzić z wszystkimi, boć pisać do wszystkich nie sposób, a jednak pamięta się. Nie wiecie z pewnością, że jestem w Belgji i tutaj na emigracji pracuję wśród swoich, Rodaków.

Kolonje są porozrzucane i niektóre bardzo małe, tak że Polacy, będąc w styczności stale z Belgami, zapominają niejednokrotnie ojczystego języka. Dzieci zwłaszcza mówią po francusku-walońsku (gwara tej dzielnicy Belgji), nawet nie umieją wypowiedzieć polskich dźwięków; tracą zupełnie akcent. W szkole trzeba uczyć wymawiać trudniejszych dźwięków, są nawet takie dzieci, które kompletnie nic nie rozumieją po polsku, lecz widocznie w duszy tkwi im ten język, bo dość szybko przyswajają go sobie.

— Pani, opowiedzcie nam coś — prosi dziecko na sposób francusko-belgijski. — O, oui, mademoiselle — dorzuca drugie z przyzwyczajenia po francusku, gdyż w tym języku myślą i w tym porozumiewają się między sobą nawet na polskiej lekcji.

Przy pogadankach bardzo często wyrazy polskie tłumaczyć trzeba po francusku.. Są jednakże kolonje, gdzie mówią dość dobrze (w tych, gdzie od dłuższego czasu jest nauczyciel Polak) i ja mam właśnie kolonje obydwu kategorii.

Z przyjemnością słuchają historii Polski — zwłaszcza z czasów zaborów. Na polskich kursach udziela się tylko języka, historii i geografii Polski.

Zdarza się tam, gdzie jest mało dzieci, że kilka oddziałów w jednym czasie trzeba zajmować, utworzyć podwójne poziomy. Prowadzi się bowiem lekcje jednocześnie z dwoma poziomami, a niekiedy z kilkoma poziomami, gdyż na oddzielne lekcje niema czasu. W jednej mojej kolonii mam dosłownie 5 poziomów (21 dzieci) i wszystkie jednocześnie trzeba zająć.

Polacy naogół dbają o to, by dzieci mogły się uczyć po polsku. Najwięcej utrzymuje się polskość przez szkołę i uroczystości, urządzone przez różne organizacje. Najczęściej spotykaną na terenie Belgji organizacją jest Koło Rady Rodzicielskiej (z rodziców dzieci szkolnych), Byli Kombatanci, Strzelec, a wśród dzieci harcerstwo.

Uroczystości urządza się bardzo często. Najbliższą ich sercu, najrzeczniejszą to gwiazdka w okresie Bożego Narodzenia. Urządza się zwykle choinkę wspólną (rzadko po domach poszczególnych), przy niej kolędy, wierszyki dzieci, rozdanie podarunków dzieciom i zabawa taneczna, która wieńczy każdą uroczystość.

W jednej kolonji utarł się zwyczaj, że z roku na rok o 11 w nocy ma miejsce ta gwiazdka, potem o 12 godz. razem idą na pasterkę, odprawianą przez ks. polskiego i po niej znów zabawa.

Każda kolonja stara się o to, by mieć własną salkę do dyspozycji każdej organizacji, coś w rodzaju świetlicy, a równocześnie sali teatralnej.

Dodać muszę, że sport ładnie rozwija się wśród młodzieży, jak to zresztą wywnioskować można z zawodów, przeprowadzanych często z innymi drużynami belgijskimi i ojezystymi z Polski. Jak dotąd Belgja zrobiła na mnie przyjemne wrażenie, a spostrzeżenia swoje o samym kraju i ludności postaram się podać w innym numerze, bo kraj to dziwny i ja sama wiele ze swych pojęć o nim musiałam zmienić

Marja Stróżyńska.

Z BŁĘKITNEJ DALI.

Do otwarcia kasy okrętowej zgórą godzina czasu. Słońce pali, nigdzie kawałka cienia. Po wczorajszej wycieczce czujemy się zmęczone, wchodzimy więc do jakiejś brudnej café w porcie i siadamy, każąc sobie podać salade z fritkami. Z ciekawością przyglądamy się otoczeniu: przy sąsiednim stoliku czterech okazałych obywateli, ciągnąc małemi łykami tradycyjną szopinkę czerwonego wina, w głębokiem skupieniu gra w karty. Nieco dalej kilku marynarzy otoczyło grający patefon i ryczą do wtóru jakąś okropną piosenkę. Rzucają przytem na nas tak zabójcze spojrzenia, że z trudem utrzymujemy majestatyczną obojętność. Zaczynają się wreszcie sprzeczać na temat, jakiej narodowości jesteśmy. — Anglaise! — Non, Allemand!

Wysyłają wreszcie delegata, by nas zapytał.

Jedyna, wypróbowana rada w takich wypadkach to udać, że się nie zna języka. Tak też zrobiłyśmy. Niefortunny delegat wraca do towarzyszy, którzy ostatecznie zdecydowali, że jesteśmy albo Angielki, albo Rosjanki i założywszy jakąś zdartą płytę ze śpiewem „Burlaków”, obserwują efekt. Płacimy prędko rachunki i uciekamy, nie mogąc dłużej zduścić śmiechu.

— Jednak mimo wszystko zachowali się lepiej niż nasi marynarze w Gdyni — mówi Wanda. Stajemy przy kasie i kupujemy bilety na Korsykę do Ile Rousse. Dzika wyspa Napoleona pociągała nas już oddawna i oto za godzinę opuszczamy słoneczną Niceę i jedziemy tam na resztę dni feryj świątecznych. Bilety kupione. Szukamy swego okrętu i po wąskiej kładce dostajemy się na pokład. Steward (marynarz dyżurny) wskazuje nam drogę do kabiny dla pań, gdzie lokujemy swe walizeczki. Otaczają nas tu jakąś specjalną uwagą i grzecznością, może dlatego, że jesteśmy jedynymi cudzoziemkami pośród nielicznych zresztą pasażerów.

Ryk syreny. Podniesiono kładkę. Czyjeś ręce machają chusteczkami, ktoś ma łzy w oczach... zgiełk, zamieszanie tak nieodzowne, przy każdym wyjeździe. Zaprowadzone przez uprzejmego stewarda na pokład II kl. (bilety miałyśmy III kl.) obserwujemy wszystko z ciekawością nowicjuszek. Wreszcie wolno, wolnusięńko, prawie niepostrzeżenie okręt nasz zaczął się oddalać od brzegu, kierując się ku wyjściu z portu na otwarte morze. Wtem ukazuje się na brzegu jakaś rozpędzona tak-sówka ze spóźnionym pasażerem. Ten wskakuje w łódkę, za nim lecia paczki... Szybki ruch wiosel i dopędza wypływający z portu okręt. Spuszczają mu sznur. Najpierw rzuca paczki, a potem sam, jak małpka zręczny, wdrapuje się na pokład przy głośnych oklaskach obserwujących z brzegu i z pokładu.

Wkrótce Nicea znika nam z oczu. Bieleją jeszcze domy, ale i te zlewają się w jedną mglistą całość. Patrzymy w wodę tak bardzo błękitną, z grzywami białej piany, wydobywającej się z pod śrub okrętu. Ma się wrażenie, że jakaś wielka praczka farbą zabarwiła przestwór wód. Podróżnych nie widać. Upał spędził wszystkich do kabin. My dwie tylko wpatrujemy się w morze bez przerwy, a potem do wtóru fal zaczynamy cichutko śpiewać. Przeczekawszy jeszcze zachód słońca, zeszyliśmy na dół. Wdrapujemy się na łóżka i leżąc, gawędzimy swobodnie, nieskrępowane niczyją obecnością.

Wieczór już był, gdy po sześciu godzinach jazdy wynurzyły się z morza wyniosłe kontury „Ile de Beauté” i po chwili okręt przybił do przystani Ile Rousse. Miasteczko zdaleka od portu, a tu deszcz zaczyna padać. Oczywiście, że ani parasolek, ani płaszczy nie miałyśmy. Zmęczone, głodne, a więc złe, idziemy szukać hotelu. Wanda, ta nieznośna dziewczyna, na „polepszenie” nastroju zaczyna po swojemu jęczeć, że niepotrzebnie ją tu wyciągałam, że trzeba było siedzieć do końca na „Lazurowym wybrzeżu”. Nic się nie odzywam, choć mam ochotę klócić się. Wchodzimy na rynek miściny (dziury). Zostaję z paczkami pod wyniosłą palmą, a Wanda idzie na poszukiwanie hotelu. Zdaleka widnieje piękny nowoczesny gmach — „Hotelu Bonapartego”. Patrząc na niego, myślę o łóżku i nawet nie czuję chłodu nocnego, ni deszczu, co mnie moczy. Po dobrej chwili towarzyszka moja wraca zła... — Pokoju niema. Wszystko zajęte. Idziemy do drugiego hotelu — ta sama historia. Wreszcie po długich poszukiwaniach wśród nocy i deszczu odnajdujemy jakiś odwieczny pensjonat i dostajemy pokój. Cały budynek w jakimś antycznym stylu, nie wyłączając naszego pokoju ze sklepieniem sufitem i zakratowanym oknem. Leżymy w łóżku i nadśluchujemy, bo oto w sąsiednim wielkim holu słychać jakieś odgłosy, to znowu u nas posadzka trząsa.

— W takim budynku, to na pewno włóczą się duchy — szepcze Wanda. Imnie czegoś nieprzyjemnie, szczególnie, gdy przypomniałam sobie nasze drzwi z popsutym zamkiem i bez klucza.

— Wstań, zapal światło — proszę.

— Kiedyś taka odważna, to wstań sama. Chwaliłaś się przecież, że w Mariówce biegałyście wieczorami na cmentarz. —

Milknę onstentacyjnie i wkrótce zasypiam na złość Wandzie. Słyszałam jeszcze jej jęczenie, ale nie chciało mi się już nic, tylko trochę spokoju. Taka byłam zmęczona, że nie zdawałam sobie sprawy, jaką n

roztropnością było z naszej strony niezabezpieczenie drzwi. Noc jednak przeszła szczęśliwie. Nazajutrz zwiedzamy brudną miścinę, rozrzuconą szeroko na brzegu morza. Robimy jakąś nędzną wycieczkę i nic ciekawego nie ujrzawszy, postanawiamy „wiał” dalej. Jeszcze jedna noc i znajdujemy się na przystanku kolejowym w oczekiwaniu pociągu, idącego do Bastia. Warto na własne oczy zobaczyć ten pocieszny samowarek, te wagoniki o 3-ch przedziałkach, przegródkach raczej. Z okien spoglądamy na przecudny dziki krajobraz, dla którego słusznie nazwano Korsykę „Wyspą piękności”. Niemal cała kraina górzysta. Granitowe potężne olbrzymy wyrastają niemal wprost z morza, sprawiając wrażenie gór znacznie wyższych. Najwyższy szczyt Monte Cinto (blisko 3000 m.) zdaleka widnieje białym kołpakiem wiecznego śniegu.

A droga kolei pnie się w te wyżyny, spada łagodnie w zaciszne doliny pełne winnic, kasztanów, fig, gajów pomarańczowych i oliwnych. Astmatyczny samowarek wjeżdża z hukiem w czarne tunele, staje w nich, łapie oddech, dla rozpędu cofa się i jazda dalej. Wreszcie koło wieczora znajdujemy się u celu.

Bastia — spore — podobno największe miasto Korsyki — brudne, że strach. Mieszkańcy Korsyki z języka i zwyczajów bardziej przypominają Włochów niż Francuzów. Typy średnio-ciekawe, chyba z tego, że są stanowczo wrogami mydła i wody. Kobiety stare czy młode wszystkie ubrane na czarno. Nasze białe sukienki raziły wśród tej powagi stroju.

Okolice Bastii cudne, to też włóczymy się przez parę dni zrzędu, zwiedzając, co się da. W typowo wiejskiej café słuchamy ciekawej muzyki i ładnego śpiewu zebranej tam młodzieży. To znowu w okropnym porcie rybackim znajdujemy całą bandę przyjaciół w osobach zamorusanych i czarnych bachorów, które nam bez przerwy towarzyszą. Porozumiewamy się trochę na migi, gdyż francuskim słabo władają, my zaś nie znamy ich patois. Na jednym zdjęciu uwieczniłyśmy się z naszymi małymi znajomymi ku ich ogromnej radości. Najwięcej jednak pociągała nas szafirowa toń morska. Całemi godzinami potrafiłyśmy iść wzdłuż brzegu, przedzierając się i skacząc między granitowymi złomami skał, byle tylko słyszeć plusk fal i mieć przed oczyma dal błękitną.

Wkońcu przejadł nam się tradycyjny chleb z serem i winem (powszednie menu). Zniszczone obuwie i brak pieniędzy również stanowiły ważny powód, by pożegnać cudną wyspę. O 4-ej po obiedzie odpływa okręt do Marsylii. Ładujemy w teczki nieco chleba z owocami i winem, kupujemy bilety i... nieś nas, morzel...

Przed nami długa droga, bo dopiero nazajutrz koło południa mamy być w Marsylii. Na okręcie dużo ludzi. Schodzimy do kabiny i zajmujemy łóżka obok siebie. Właściwie namawiałam Wandę, by się windowała na górę, ale nie chciała wyżyn, zostawiając je dla nieco smuklejszych istot. Oprócz nas jadą jeszcze 3 Korsykanki i dwie młode Niemki. Idziemy na górę, by z pokładu obserwować poszarpane dzikie brzegi wyspy.

Naprawdę, że oczu oderwać nie można. Na wyniosłych skalnych cyplach dumają posępne, stare wieże. Takich wież, pamiętających dawne, inne czasy, widzi się tu mnóstwo. Gwałtowny wichur przerwał nasze gorące zachwyty. Okręt rozpoczął prawdziwe płasy. Rozkołysane

fale zmieniają barwę na jakąś zielonawo-stalową i walą z szumem i bryzgają pianą na twarze.

— To „Mistral” — objaśnia nas steward.

— Radzę paniom iść się położyć i jeść cytryny, bo to się zaczyna na całą noc — rzekł, odchodząc.

— Ee, zawracanie głowy, nie jesteśmy znowu tak zaraz skłonne

— Naturalnie — dorzucam pewnym tonem.

Do późnego zmroku siedzieliśmy na pustym pokładzie mimo przenikliwego chłodu i wzmagającego się kołysania. Zataczając się lekko, schodzimy na dół i kładziemy się spać. Przed zaśnięciem raczymy się owocami, żartując wesoło. Okręt nasz tak się kołysze, że walizeczki jeżdżą z kąta w kąt. Szum przelewających się fal i huk wichury z każdą chwilą wzrastają. Korsykanki od chwili opuszczenia portu chorują. Żal nam małej, czarnej dziewczynki, która w niezrozumiałym języku skarży się i płacze. Obie Niemki trzymają się dzielnie, a my?... Wciąż jeszcze uśmiechamy się, patrząc na siebie i myślimy: która też pierwsza, bo czujemy, że tym razem nie uda nam się, że musimy daninę morzu złożyć. Usłużny posługacz roznosi spluwaczki, które przymocowuje do łóżek.

— Mais-pas besoin, monsieur — próbuję oponować.

— Si, si, mademoiselle — śmieje się rubasznie. Wzdycham ciężko i czuję, że tracę moją sympatię do morza. Zasypiam na chwilę, gdy budzą mnie jęki Wandy.

— Lesiu, ja już — mówi po chwili. Wybucham śmiechem i śmiejemy się obie. — Ale nie ciesz się przed czasem, lepiej spojrz w lusterko — mówi Wanda

Patrzę i widzę zielonawą twarz, sine usta i czarne koła dokoła oczu.

— Widocznie i mnie bierze, choć poza bólem głowy nic narazie nie odczuwam. Wanda zasypia i teraz ja z kolei budzę ją: — Wanda, ja już! Ale wcale się nie śmieję. Szalony ból głowy, aż odurza. Siedzę skulona w łóżku i jednego tylko pragnę, by choć na chwilę ustało to przekłete kołysanie.

— Oh, mon Dieu, je vais mourir — jęczy Wanda.

— Cicho bądź, po polsku jęcz i tak ci tu nikt nie współczuje, bo każdy ma dość. Patrzymy na siebie i uśmiechamy się tragicznym „uśmiechem przez łzy”... Lepiej mi nieco, ofiarowuję więc swe usługi Wandzie:

Potrzymać ci głowę? — proponuję — Zostaw mnie, żebyś potem wszystkim o tem opowiadała. Z zazdrością spoglądam na spokojnie śpiące Niemki, ale nad ranem i na nie przyszła kolejka.

— Wanda, obudź się, bo i Niemki już — informuję z pewną przyjemnością. Jak solidarność — to solidarność. Około 5-rano ubieramy się i idziemy do bufetu na czarną kawę, a potem na górę, ale wyrzucają nas, gdyż wzburzone fale zalewają pokład. Woda skłębiona, niczem nie przypomina cudnego lazurowego Méditerranée. Dobrze się czujemy i zaśmiewamy się wzajemnie z siebie, podczas gdy dla biednych Niemek rozpoczęła się cała gehenna morska.

Do Marsylii przybyliśmy z dużym opóźnieniem z powodu huraganu. Po rewizji w porcie (chodziło o papierosy, które na Korsyce są o połowę tańsze niż we Francji) wychodzimy na miasto. Cóż, kiedy formalnie zataczamy się i tak okropnie wyglądamy, że rozpacz. Mialiśmy zamiar zwiedzić szczegółowo Marsylję, a nie byliśmy w stanie. Wobec

tego łapiemy tramwaj i na dworzec. Po czternastu godzinach jazdy koleją znajdujemy się wreszcie w cichym Le Creusot bez sił i nawpół przytomne ze zmęczenia, ale zadowolone, że skończyły się już wszystkie tarapaty podróży, szczególnie tej ostatniej, podczas której zawarłyśmy bliższą znajomość z morzem.

Bola Mieszczankowska.

O NAS.

Absolwentki Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce z 1933 r.

1. z Albrychtów Jadwiga Wysocka — wyszła za mąż za kierownika szkoły powszechnej w Starachowicach.
2. Bassalikówna Jadwiga — szkoła powszechna w Derewnie woj. nowogródzkie.
3. Bieńkowska Zofja Janina — szkoła powszechna w Jeżowej Woli koło Radomia
4. Z Błasińskich Marja Wojnowska — wyszła za mąż za kierownika Związku Kresów Zachodnich w Toruniu.
5. Chrostowska Barbara — posada w urzędzie Pocztowym w Jastarni.
6. Z Czajkowskich Zofja Lipkowa — wyszła za mąż za nauczyciela na Kresach Wschodnich.
7. Frontczakówna Teresa — katechetka w Łodzi.
8. Gajewska Zofja — szkoła powszechna prywatna p. Papieskiej w Lublinie.
9. Gregorczyk Monika — nauczycielka w komplecie przy Gimnazjum w Marjówce.
10. Grzegorzycówna Anna — katechetka w pobliżu swojej wsi Borki.
11. Iwańczykówna Irena — jest w domu w Głowaczowie woj. kieleckie.
12. Z Kaczmarских Jadwiga — Jaroszowa mieszka na Śląsku
13. Kawińska Franciszka — nauczycielka w schronisku w Krasnem.
14. Konarzewska Jadwiga — biurowa praca w Warszawie.
15. Mastellanka Wilhelmina — jest w domu w Lipnicy Wielkiej.
16. Oleszczukówna Janina — pracuje w sklepie u brata w Kielcach.
17. Z Olszowiczów Marja (Isia) Nowakowska — wyszła za mąż, jest katechetką w szkołach powszechnych pod Łodzią.
18. Patykiewicz Marja — szkoła powszechna ŚS. Szarytek w Warszawie.
19. Pawlikówna Anna — prywatna posada w Kalince — Lubelskie.
20. Rebajówna Wanda — nauczycielka w szkole powszechnej w Ostrowcu.
21. Śliwińska Janina — szkoła powszechna w Rogowie pod Końskimi.
22. Szymankówna Elżbieta — nauczycielka w komplecie przy Gimnazjum w Marjówce.
23. Szymańczykówna Monika — prywatna posada w Wygiełzowie pow. włoszczowski.

24. Szpruchówna Leokadja — szkoła powszechna w Łodzi.
 25. Ulińska Marja — nauczycielka w szkole zawodowej w Mielcu woj. krakowskie.
 26. Zagdańska Kazimiera — nauczycielka w szkole zawodowej w Sandomierzu.

== KRONIKA: ==

KRONIKA OGÓLNA. 22—II. Mistrzynie we władaniu językiem francuskim popisywały się dziś na scenie. Publiczność miała wrażenie, że znajduje się w teatrze paryskim.

25—II. Ostatni dzień karnawału i ostatnia, ale z werwą, zabawa.

27—II. Było tak — jak jeszcze nigdy. Piękny koncert szkolny, urządzony staraniem p. J. Michałewskiej. W repertuarze utwory Moniuszki.

3—III. Przyjechał p. Wizytator.

6—III. Już po wizytacji. Z prawdziwą przykrością żegnamy p. Wizytatora. Tyle cennych wskazówek — tyle otuchy, przeważnie maturzystkom, zostawił.

8—III. Niewiele wiemy — ale dużo mówimy. „Podobno ma być wojna” słychać dokoła. „A może nie będzie matury.” Może — kto wie, ale tymczasem lepiej uczyć się.

9—III. Dzień imienin ś. p. pani Przełożonej Fr. Nierodzik. Cała szkoła rano była na mszy św., a po obiedzie na cmentarzu, gdzie złożono wieniec na grobie Zmarłej.

19—III. Dzień imienin ś. p. Marszałka J. Piłsudskiego. Msza żałobna — a potem wysłuchanie przemówienia (przez radio) Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego.

21—III. Z racji imienin byłej p. Dyrektorki, Józefy Sieradzkiej, gimnazjum odegrało sztukę p. t. „Prządka pod krzyżem.”

23—III. „Piąteki” robią przedmaturalne wypadki z Marjówki do pobliskich szkół powszechnych niżej zorganizowanych. Wracają ze zdwojonym zapalem do pracy nauczycielskiej. Daj Boże, by zapal nie zgasł.

24—III. Dziś spowiedź wielkanocna. Jak lekko na duszy...

1—IV. Prima-aprilis. Dziś można bezkarnie kłamać. Wykorzystujemy sytuację skrzętnie, gdzie się da i jak się da.

7—IV. Wyjazd na święta Wielkanocne. Ile radości, wrzasku, kłopotów, trudno wyrazić.

KURS V. 6—III. „Marysiu, daj paska — prędejsz, bo pęknie” Co — co pęknie? „Głowa. Historia wychowania wysadza pedologię, a już na fonetykę w żadnym razie miejsca nie ma.”

24—III. „Dlaczego ty, Jasiu, uczysz się stale w salce pedagogicznej?” A bo to mi ułatwia... „Co?” Zapamiętanie, że Foerster był pedagogiem.

15—II. Wiecie co, dziewczynki, nie będę się uczyła więcej — krzyczy Ola, bo nauka szkodzi mi bardzo na zęby.” Wymarzony powód, ciekawe tylko, czy przy maturze to uwzględnią.

KLASA VI. 8—II. Pani polonistka, wchodząc do klasy, zwraca się do Toli, aby poszła po książkę. Tymczasem Wisia nie zauważyła tego wszystkiego, a chcąc uratować nieobecną koleżankę, wstaje i mówi szybko: „Proszę pani, Tola się spóźni.”

10—II Łacina. „Proszę mi powiedzieć infinitivus futuri passivi od sequor — sequi. Danką „To będzie secaturus.” Pani łacinniczka: „Chyba od sekatora.” Wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem.

15—II. Jeszcze łacina. Pani pyta: „Która wie, co to jest centurjon?” Danką z pewną miną odpowiada: „Pół konia, pół człowieka.” Biedaczka myślała o centa-urach.

2—III. Czytamy satyrę Krasickiego „Do króla.” Poeta pisze, że Stanisław Augusta tron „siwizny nabawił.” Jedna mówi: „Skąd on wie? Przecież Stanisław August nosił perukę.”

KLASA III. 6—II. „Krysiu, co to będzie, jeżeli się kichnie w czwartek rano?” pyta Wanda. „Na pewno kaśar” — odpowiada spokojnie zapytana.

10—II. Na śpiewie. — „Dziewczynki, dlaczego wy śpiewacie „kopytami,” kiedy w piosence jest „kopytkami?” — „Oj, proszę pani, jabym i kopyteczkami śpiewała, tylko, że ciągle zapominam.”

18—II. „Kaziu, z jakiej rodziny pochodził Ludwik XVIII?” — „Ludwik XVIII? Oj, zaraz... zaraz... aha, wiem: z rodziny Ludwików.”

28—II. „Proszę pani, — mówi Sylwia — mamy strasznie dużo roboty. Musimy porównać polski „jour” z francuskim „Co? Żur?” „No tak, dzień.”

5—III. Na religji. „Chrześcijanie mieli różne święta, na przykład... np. świętopieprze” — i zadowolona Kryśia usiada.

KLASA II. 3—III. Ogórek czyta swój plan, między innemi taki punkt: „Rządy Zygmunta Salaterki” „Co?” — dziwią się słuchające koleżanki. „No, nie salaterki, tylko Wazy, przecież to prawie wszystko jedno” — śmieje się zadowolony z figla Ogórek.

5—III. „Widziałam dziś skowronka, skowronka” — śpiewa radośnie Basia. „Co? gdzie? kiedy?” — pytają zaintrygowane dziewczynki. „No, tak! widziałam, — mówi Basia — widziałam wróć, dodałam do niej „sko,” zdrobniłam i wyszedł „skowronek.”

20—III. Łacina. Czytamy, że Marek dokucza Publiuszowi, Pani pyta: „Która wie, jaki to tryb?” „Dokuczający, proszę Pani” — objaśnia poważnie Hela.

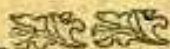
25—III. Jedna podaje dziewczynkom pierogi przy obiedzie i prosi p. Anulkę jeszcze o dwie porcje. Na to jedna z młodszych koleżanek: „Jakież ty chcesz porcje? Tu porcyj nie dają, tylko pierogi.”

KLASA I. 17—II. Zosia: „Już niedługo będzie środa popielcowa. Zdaje mi się, że po tej niedzieli!” Ania zamyślona: „Przecież środa popielcowa w tym roku wypadła w piątek.” Wszystkie wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem.

19—II. Na lekcji geografji biedna Tereska stoi przy mapie i myśli, jakie są bogactwa w Bielsku. Aż nareszcie wykrzykuje ucieszona: „Kopalnie lokomotyw”.

20—II. Lekcja historii. Pani pyta się Helenki: — „Powiedz mi, jakie były zamieszkania Greków?” „Grecy bardzo lubili grać na... flucie.”

29—III. „Stolek” przegląda wypisy polskie. Nagle wykrzykuje zdziwiony: — „Patrz, Lilko, jaki dziwny tytuł: „Paweł w świętej koszuli”. Lilka zagląda do książki zaciekawiona. Okazało się, że tytuł był: „Perły świętej Urszuli.”



PRENUMERATA ROCZNA 3 zł. z PRZESYŁKĄ 3 50.

Redaktorka odpowiedzialna: IRENA WITKOWSKA.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. GOŹDZIKÓW

Druk Szkoły Rzemiosł w Marjówce.